

wiedzieć, lecz machnęła tylko ręką – no cóż, pomyślała sobie – polska świnia i tyle.

Było południe, kiedy obie kobiety opuściły olśniewone lasy i torfowiska za Kuznicą. Minęły zabudowania zagubionej wśród leśnych ostępów wioski, zagłębiając się w stary, sosnowy bór. Brodząc w poszyciu, Maria dostrzegła rosnące, tu i ówdzie, grzyby i nucąc na przemian, to pogwizdując, schyla się raz za razem. Millerowa nie zwraca uwagi na grzyby, mchy, porosty i paprocie, ani na pół metrowej grubości wielkie, prastare sosny. Pokazała swe prawdziwe oblicze. Okazuje się, że jej współzycie z Polakami, to tylko maska, to jagnięca skóra, pod którą czai się krwiożercze wilczyśko. Nie tyle, nie lubi, co nienawidzi Polaków. Bez przerwy wyrzuca z siebie potoki buńczucznych zdań, przedstawiając wizję świata pod panowaniem Niemiec; oczywiście świata, na którym miejsca dla Polski nie będzie.

Wreszcie, stary las kończy się i obie kobiety wychodzą na otwartą przestrzeń. Przed nimi kolejna wioska na drodze do Pabianic.

Wtem, na pogodnym dotąd niebie, pojawia się niespodziewanie mgiełka. Wiatr gromadzi pierzaste strzępki i w kilka minut, formuje, na samym środku firmamentu, biały obłoczek, który kłębi się i rośnie w oczach; w dali samotna grusza i bure strzechy chat.

– A potem będą Niemcy... Grossdeutschland [Grosdojczland – wielkie Niemcy] – prawi Niemka z namaszczeniem – „von die Maas, bis an die Memel”... [Fon der Maas, bis an die Memel – od rzeki Maas, do rzeki Niemen. Słowa niemieckiego hymnu].

A z resztą, tu kiedyś mieszkali Niemcy...to znaczy, Germanen... Nasze uczone to zbadali – „Deutschland vor über der ganzen Welt [Dojczland for iber der gancen Welt – Niemcy ponad całym światem] – i znów podkreśla swe słowa szerokim gestem.

Idąca przodem Millerowa, mówi już sama do siebie. Gramoli się z trudem przez rów z wodą, który przecina ścieżkę i miele jęzorem, jak w transie.

Maria przeskakuje rów z wodą i podziwiając piękno krajobrazu, syci swój wzrok zielenią pól i lasów. Spogląda na samotny obłoczek.

Nagle, staje jak wryta.

Na samym środku błękitnego nieba zawieszony jest, bielusiński jak śnieg, wielki polski orzeł.

Z łopotem piór na wietrze, z drgającym dziobem, z głową zwróconą na zachód, trwa wspaniały, niewzruszony, potężny. Zakrzywione szpony gotowe do chwycenia zdobyczy, wyprostowany ogon, dumna szyja... majestatycznie rozpostarte skrzydła... Polski Orzeł!!

Maria, nie może przelknąć śliny, ani wydobyć z siebie słowa. Stoi jak skamieniała, urzeczona w niemym zachwycie, a dreszcz milionem mrówek wędruje przez całe jej ciało, promieniuje do szczytu głowy... Do gardła podnosi się ściśnięte serce.

Maria uśmiecha się do orła... Do oczu gwałtownie napływają łzy. Łzy Radości, łzy szczęścia... Polska, polski orzeł! Nadzieja... zmartwychwstanie! Polska, Polska!

– O! – krzyczy w końcu – O!... – i wyrzuca w górę ramiona – Proszę, mówiła pani, że Polski nie będzie! – woła dziwnie nieswoim głosem.

Millerowa przystaje. Odwraca się powoli i wlepią bezgranicznie przerażone oczy w niebo.

– Oh, mein Gott [O, maj Got – O, mój Boże!], polski orzeł! – krzyczy zdziwiona.

– Będzie Polska, będzie Polska... – powtarza Maria w kółko i dwie wielkie łzy spływają jej policzkach.

Niemka, jak rażona piorunem podskakuje. Miota się jak opętana – chwije się; omal nie pada na ziemię! Chwyta garściami powietrze!... Gaśnie.

Opuszcza głowę. Usiłuje ukryć wzrok... Kurczy się, garbi, maleje... Obok, na ziemi, leżą upuszczone paczki...

A polski orzeł, tam na niebie, jak żywy! Zdaje się, że za chwilę zamacha białymi skrzydłami i sfrunie na umęczoną, polską ziemię.

Maria, w zachwycie, straciła całkowicie poczucie czasu. Stoi z mokrymi od łez policzkami. Rusza do przodu, to znów przystaje. Spogląda, co chwilę, do góry. Nad nią, na niebie, czuwa polski orzeł. Prowadzi do wsi... O kiwa głową, jakby na pożegnanie. Nagle, targnięty wiatrem rozplywa się w siwą mgłę, by za chwilę ustąpić miejsca nieskazitelnemu błękitowi.

Obie kobiety, każda na swój sposób, przekonane były, że pojawienie się polskiego orła na niebie, było najprawdziwszym cudem i obie uznały, że to być może kara niebios, za nienawiść Millerowej wobec Polaków.

Dalsza droga upłynęła w całkowitym milczeniu. Millerowa patrząc szklanymi oczami, na mijane wioski i lasy, na złotą polską jesień, nie przemówiła już ani słowa do samej Łodzi.

Przed domem gdzie mieszkała Maria, powiedziała, wbrew swemu zwyczajowi, po polsku „do widzenia”. Ale nie tylko to było u niej inne, nowe, nietypowe; do końca wojny nie nazwała już nigdy więcej miasta Łodzi – „Litzmannstadt” [Litzmannsztat – niemiecka nazwa Łodzi].



Działka na Gładysza

Gdy dowiedziałem się o nim, wydawał mi się to pomyśl trochę zaskakujący. Być może nie spodziewałem się aż takiej racjonalizacji ze strony współmałżonki, aczkolwiek temat skądinąd zawsze był mi bliski. Wkrótce tam poszliśmy.

Ziemia była porośnięta niską trawą, a nieopodal z lewej strony drewniany kościółek pochodzący z XVII wieku. Dokładniej, wybudowany w latach 1630-1640 z również drewnianym ołtarzem utrzymanym, by tak rzec, w ludowym stylu barokowym. Wtedy też przypomniałem sobie, że jako jedyny (są jeszcze dwa w Dobrodzieniu) ocalał z wielkiego pożaru, jaki ogarnął, dziś moje miasto, 1 czerwca 1848 roku. Ta drewniana konstrukcja przetrwała także pomimo agresji obcych wojsk, w tym przede wszystkim szwedzkich i saskich. Swego rodzaju cud.

Patrzyliśmy na ów kawałek ziemi, lekko pochyleni. Moja żona wzrokiem pytała, czy się zgadzam. Trawnik to trawnik, a ziemia to ziemia, ale ów nieopodal kościółek z jego niezwykłą historią pewnie spowodował, że kiwnąłem głową na znak zgody. Dzień później małżonka na plebani dopełniła niezbędnych czynności papierkowo-finansowych i działka była już nasza. Staliśmy się posiadaczami drugiej, po mieszkaniu przy ulicy Chłopskiej 1 m. 13, nieruchomości, działki przy ulicy Gładysza.

Drewniany kościółek jest pod wezwaniem świętego Walentego, który w tradycji to patron zakochanych. Żył on w Cesarstwie Rzymskim za panowania Klaudiusza II Gockiego. Cesarz ów za namową swoich doradców z kolei zabrał młodym mężczyznom wchodzić w związek małżeńskie. Uważał, że najlepszymi żołnierzami są legionści niemający rodzin. Zakaz ten złamał biskup Walenty i błogosławił śluby młodych legionistów. Został za to wtrącony do więzienia, gdzie zakochał się w niewidomej córce swojego strażnika. Legenda mówi, że jego narzeczona pod wpływem tej miłości odzyskała wzrok. Gdy o tym dowiedział się cesarz, kazał zabić Walentego. Egzekucję wykonano 14 lutego 269 roku.

Miłość i śmierć. To pewnie drugi, już po fakcie, powód, że pomyśl zakupu wydał mi się nad wyraz ciekawy. Nasza działka jest niewielka. Gdy zbliża się wiosna gleba nie wymaga prac pielęgnacyjnych, nie musimy nawet kosić tam trawy, bo odpowiednie służby czynią to za nas. Czasem tego mi brakuje. Zawsze lubię posprzątać. Nie wyobrażam sobie, nawet gdyby było mnie na to stać, w swoim mieszkaniu tzw. służby. Ktoś dotyka moich sprzętów, podaje mi obiad, itp. Przechodząc tą ulicą zawsze spoglądam w tamtą stronę, jakby upewniając się o jej obecności. Cmentarz stoi tak jak stał. Tam moja działka, gdzie trzy metry na trzy.

Życie i śmierć. Dwie najwyższe wieże istnienia człowieka w świecie. Górują nad wszelkimi małostkami, kolokwialnymi obrazkami obecności homo sapiens, homo ludens, homo faber. Przyglądają im się z uśmiechem. Ta pierwsza zawsze pełna klasy, wysyła sygnały, stawia znaki na drodze, gdzieś popycha, gdzie indziej z kolei mówi stop. Nie rozczuła się nad nami, gdy *sluch* nas zawodzi i popełniamy błędy. Jedynie patrzy – czy na powrót słuchamy. Przypomina mi się wiersz „Nasz świat”:

*ale taki jest nasz siwulek świat
u gryza się w świadomości
i nie pyta: czy mogę?
zawsze głodny naszej wiedzy o nim*

(...)

*rozmawia chętnie z tymi
którzy mu do taktu
i podsuwa tematy
wspólne z nami dzieci
krótko żywe dni,*

z tomu „Nasz siwulek świat”, z roku 2005. A jak świadczy o nas wieża druga, śmierć? Nic, tylko milczy.

A zatem co? Co spowodowało moja zgodę na zakup działki przy ulicy ks. Gładysza? Bliskość skromnego, drewnianego kościółka z jego niezwykłą historią i to, że jest pod wezwaniem patrona zakochanych to przyjemne didaskalia, które z pewnością kibicowały podświadomie decyzji i jedyne, co przychodzi mi do głowy, to poczucie miejsca.

W życiu każdego człowieka to nad wyraz ważne. Miejsce bowiem to poczucie bezpieczeństwa. Znaleźć swoje miejsce na ziemi, itp. Wiersz niejako łączący życie i śmierć, „Książka i ja”, zaczyna się tak:

*wiem – dotyk stronic
roznieci poczytną iskrę
bardziej bezpieczny tylko ostatni port-*

z tomu „Geometria światła”, 1994

Źródłem życia jest śmierć. Od tego jak argumentuję śmierć, zależne jest moje życie. To nie czas narodzin nas stwarza, a wręcz by tak powiedzieć, odwrotnie, nasz stosunek do śmierci. Człowiek jest jego funkcją. A w tym ważne jest miejsce. Czy można sobie wyobrazić, cudowna romantyczna randkę z tysiącem pięknych rekwizytów pod pachą, gdy nie wiemy gdzie ona ma mieć miejsce? Przecież przede wszystkim na początku o to dbamy. Czyż nie?

Drażni mnie natomiast stawianie sobie pomników, nagrobków skrzętnie opisanych z jedną pustką – na datę śmierci. To już nie miejsce, a budowanie na nim, by tak określić, wyrazów zaistniałej śmierci za życia. To obraz pychy, pyśzałkowatego stosunku do życia.

JANUSZ ORLIKOWSKI